

## ***FINIS CORONAT OPUS, CZYLI KONIEC DOBRYCH CZASÓW***

**(Dyplom na politechnice AD 1962)**

Po 5 latach studiów zaczął się ostatni semestr – dyplomowy, przyszedł ostatni studencki Sylwester i rozpoczęliśmy ważny dla nas rok 1962.

We własnej historii każdego z nas był to rok przełomowy (zaledwie kilka osób przedłużyło sobie błogi okres studencki o kilkanaście miesięcy); w historii świata – też niebanalny. Rozkręcał się na dobre wyścig kosmiczny będący widowiskową stroną zimnej wojny: w lutym, niecały rok po Gagarinie, wystartował na orbitę pierwszy Amerykanin, John Glenn. W październiku nastąpił dramatyczny kryzys kubański – nawet nadsluchując uważnie Wolnej Europy nie zdawaliśmy sobie sprawy, jak blisko była wtedy katastrofa. Październik to też początek Soboru Watykańskiego II, który niebawem miał zmienić oblicze Kościoła. W Europie i USA kiełkowała "młodzieżowa rewolucja kulturalna" – wątpię, czy ktoś z nas wiedział wtedy, że są jacyś Beatlesi, że ich kariera zaowocuje za parę lat ruchem hippisów i w efekcie oczywistymi dziś zmianami obyczajowymi. W Polsce jeszcze były ślady odwilży październikowej 1956 roku, szczególnie w środowiskach studenckich (teatrzyki, takie jak wrocławski Kalambur i kluby, takie jak Pałacyk), pojawił się program trzeci Polskiego Radia, czyli kultura później "Trójka" (pytanie za 5 punktów: ile było w kraju odbiorników z zakresem UKF?)

Po tych pięciu latach, mimo że nasz rok liczył ponad setkę osób, nie byliśmy już dla siebie anonimowi. Oczywiście ci, którzy mieszkali w akademikach poznali się lepiej, ale nawet samo uczestnictwo we wspólnych zajęciach (ponad 4,5 tysiąca godzin w czasie całych studiów) dawało okazje do poznania nie tylko umiejętności, ale też inteligencji i charakterów.

Panowie mieli dodatkową przyjemność swoistych spotkań integracyjnych na zajęciach studium wojskowego (buty dla całej kompanii przynoszone na drażu przed każdymi zajęciami, całodobowe "służby" na ostatnich piętrach budynku D1, wędrówki przez miasto w szwejkowskich mundurach) oraz w czasie dwóch miesięcznych obozów – minerskiego w Kazuniu i pontonowego we Włocławku.

Nasze kontakty nieco się rozluźniły po podziale na specjalności – mieliśmy różne zajęcia, powstały inne zespoły (początkowo grupy ćwiczeniowe były utworzone alfabetycznie, dzięki czemu męskie w zasadzie towarzystwo było dość równomiernie okraszone dziewczęńskimi wyjątkami). Intensywności nabrały pozauczelniane "zajęcia w podgrupach", które czasami przeradzały się w bardziej trwałe związki damsko-męskie. Choć telewizja już od roku nadawała codzienny(!) program ogólnopolski, była to raczej trudno dostępna ciekawostka niż sposób na spędzanie czasu; pozostawało kino, zaczynała się moda na złazy i rajdy turystyczne, trudno się było dopchać na sobotnie tańce w Akwarium (urządzone tam teraz laboratorium zupełnie nie kojarzy się rock'n'rollowo!).

Sesja zimowa w lutym 1962 była naszą ostatnią sesją – z jednym egzaminem, ale za to dyplomowym. Po jedenastu semestrach studiowania, zdaniu blisko pięćdziesięciu egzaminów, zaliczeniu 3 praktyk wakacyjnych, napisaniu "uczzonej" pracy (w wielu przypadkach ten cudzysłów trzeba pominąć) i jej obronie każdy otrzymał dumny tytuł magistra inżyniera łączności. Ta "łączność" postronnym ludziom kojarzyła się niekiedy z zielonym samochodem rozwożącym pocztę, ale co było robić: nowomodne słowo "elektronika" znalazło się na dyplomach i w nazwie wydziału dopiero za cztery lata. Zresztą, na tym wydziale po studiach zostało kilka osób, a niektórzy spośród nich zrobili kariery akademickie uzyskując różne stopnie i tytuły naukowe. Prócz "elektroniki", innym, nieużywanym wówczas w Polsce

terminem był "komputer", mimo, że właśnie w 1962 r. w Elwro uruchomiono pierwszą działającą maszynę cyfrową Odra 1002, a ci z nas, którzy tam zaczęli pracować, stali się wkrótce trzonem twórczej grupy konstruktorów polskich komputerów.

Nie wszyscy pozostali we Wrocławiu, część rozjechała się po Polsce, a kilka lat później – i po świecie, aby po jako-takiej stabilizacji odnowić kontakty na naszych pierwszych zjazdach. Wtedy też zaczęły się wspominki jeszcze całkiem świeże, a z biegiem lat coraz bardziej ucukrowane. Dzięki Internetowi odnalazło się sporo osób i z Polski, i z naszej diaspory, ożywiła się wymiana informacji, wspomnień i poglądów; sieć ułatwiła też organizację spotkań w "realu". Niestety, oprócz radosnych dorocznych zjazdów, spotykamy się coraz częściej w zupełnie niezaplanowanych terminach i miejscach – na pogrzebach „Tych z naszego roku”. Zmienia się też temat rozmów: najpierw było opowiadanie o swoich sukcesach zawodowych, osiągniętych stanowiskach, "urządzeniu się", później o dzieciach, a dziś – po pół wieku – głównie o chorobach i...wnukach, dla których nasze historie z połowy XX wieku są kawałkiem Historii opisanej w podręcznikach. Historii dla nich zbyt skomplikowanej, żeby w nią wnikać i zbyt odległej, żeby się nią przejmować...

*Witold Komorowski, marzec 2011*